

Jarosław Marek Rymkiewicz: Rozłożenie rąk

To pamięć i tylko ona stwarza nasze tutejsze życie – powołuje je do istnienia. Bez niej nie istniałaby ani żadna terażniejszość, ani też żadna przyszłość. Istnieje zatem tylko przeszłość stwarzająca cały nasz tutejszy świat – mówi Jarosław Marek Rymkiewicz w rozmowie z Krzysztofem Masłoniem w ostatnim numerze tygodnika „DoRzeczy”

Krzysztof Masłoń („DoRzeczy”): W wierszu „Już wszystko przeczytane” z najnowszego pańskiego tomu „Metempsychoza. Druga księga oktostychów” czytamy: „Martwy księżycu powiedz co jest za mogiłą / W książkach które czytałem nic o tym nie było”. Czyli literatura nie potrafiła odpowiedzieć panu na najważniejsze pytania, powiedzieć o tym, co fundamentalne?

Jarosław Marek Rymkiewicz: Literatura, przynajmniej ta nasza, tutejsza, śródziemnomorska, odpowiada od wielu wieków na różne ważne pytania dotyczące naszego losu – i może nawet po to istnieje, po to właśnie Grecy ją kiedyś wymyślili, żeby odpowiadała, tak jak greckie wyrocznie, na pytania ostateczne. Te jej odpowiedzi bywają często bardzo ciekawe, a nawet fascynujące, ale kiedy posuwamy się w latach, kiedy jesteśmy coraz starsi, to wreszcie okazuje się (i dopiero wtedy zdajemy sobie z tego sprawę), że o tym, co najważniejsze – o własnym byciu tutaj – nie dowiedzieliśmy się niczego. Nie tylko literatura, także świat nie odpowiada (nawet, tak to oceniam, nie zamierza odpowiadać – jakby go to nie interesowało lub jakby nie znał odpowiedzi) na to

najważniejsze pytanie dotyczące naszego ziemskiego losu: Dlaczego tu jesteśmy i dlaczego nas tu nie będzie? Ten oktostych, o którym pan wspomniał, mówi więc o moim starzeniu się, a także o mojej bezradności – powinienem wiedzieć coraz więcej, a wiem coraz mniej. Nie wiem, dlaczego zjawiłem się na świecie, i nie wiem, dlaczego zniknę. I dlaczego właśnie ja tu jestem, a nie, na moim miejscu, ktoś inny. Mam takie poczucie, że od dłuższego już czasu moja poezja krąży właśnie wokół tego pytania o istnienie. Skąd się bierze istnienie i gdzie znika? Jednak nie tyle krąży, ile raczej bezradnie kuśtyka. To jest stare pytanie romantyków, romantycznych filozofów i poetów. Słowacki większą część swojego krótkiego życia poświęcił na formułowanie i oglądanie, z różnych stron, tego pytania. Wreszcie uznał, że trzeba podejść do niego metempsychicznie, że metempsychoza, choć może nie wystarczająco, jakoś tłumaczy nasze tutejsze istnienie oraz nasze wszystkie uprzednie i następne wcielenia.

Powiedziałbym, że w pana przypadku dzieje się tak od zawsze, bo zresztą nie ma ważniejszych pytań dla literatury.

Jednak akurat ten konkretny oktostych, o którym tutaj mówimy, zdradza raczej moją kompletną bezradność wobec takich pytań, które lubi stawiać literatura i które ja też kiedyś lubiłem stawiać. Kiedyś, w młodości, zdawało mi się, że coś wiem – że świat, jego istnienie, da się wytłumaczyć, a więc i moje istnienie jest jako tako wytłumaczalne. Myślałem wtedy historycznie, nawet uprawiałem radykalny historyzm, byłem historykiem literatury i swoje istnienie traktowałem jako fakt historyczny, tłumaczyłem je historycznie. To mi wystarczało. Teraz, jeśli coś wiem, to tylko to, właśnie tylko to, że odejdę stąd, nie rozumiejąc, po co tutaj przyszedłem, po co tutaj byłem. Nie widzę żadnego sensu w fakcie mojego pojawienia się na świecie i – co za tym

idzie – nie widzę żadnego sensu w pojawieniu się na świecie każdego innego istnienia. Nie ma w tym żadnej konieczności, coś może być lub nie być i z tego bycia lub niebycia nic nie wynika. Ktoś powie, że to jest deklaracja radykalnego nihilizmu. Jednak ja nie jestem nihilistą, bo pytam i domagam się odpowiedzi, a świat mi odpowiada – nie będziesz wiedział, bo właśnie takie jest twoje przeznaczenie. Jest więc tak, że z nas dwojga to świat jest nihilistą, a nie ja.

**Z drugiej strony tom otwiera wiersz zaczynający się słowami:
„Bóg porusza naturą każdym listkiem rusza...” To też jest deklaracja.**

Jednak trochę śmieszna, trochę też ironiczna. Ach, to taki żarcik o Spinozie, żukach, dobrotliwym Bogu, który dobrotliwie traktuje spinozjańskie oraz metempsychiczne pomysły i nawet uznaje je za swoje własne. Jednak ten oktostych – „Deus sive natura” – też mówi o tym, że w gruncie rzeczy nie da się pojąć sensu istnienia, nie da się go zrozumieć.

Ktoś powiedział niedawno – i ja się z tym zgadzam – że w pana twórczości właśnie to, czego pan nie wie, jest ciekawsze od tego, co pan wie.

To bardzo pochlebna opinia. Jednak to, czego nie wiem, jest właściwie niewypowiadalne – nie da się nazwać, nie da się uchwycić.

A jednak o tym niewypowiadalnym pisze pan wiersze.

To jest coś w rodzaju rozłożenia rąk. Takie rozłożenie rąk. Powiadam: jest jak jest, ale nie wiem, dlaczego tak jest, i już się nie dowiem.

Z jakiego powodu już drugi kolejny zbiór pańskich wierszy składa się z samych oktostychów? Przywiązał się pan do tej właśnie formy poetyckiej?

A tego to nie wiem. Jednak spróbuję to przemyśleć. Jestem teraz trochę ślepy, nawet ćwierć- czy półślepy. Widzę, choć słabo, litery na ekranie komputera, ale tych na papierze już nie widzę. To nieprzyjemne upośledzenie, bo nie mogę czytać książek. Otóż oktostych to forma króciutka, ledwie ośmiowierszowa. To zaledwie trzy lub cztery zdania – da się go więc napisać bez pomocy oczu i rąk, a za pomocą jakichś połączeń czy przepływów w komórkach mózgu. Mówiąc prościej, oktostych można skutecznie napisać w pamięci, a potem poprawiać i przerabiać, coś z niego wyrzucać i coś do niego dodawać również w pamięci – i dopiero potem zapisać efekt ostateczny na ekranie komputera.

Istniejemy – i zdajemy sobie sprawę z tego, że istniejemy – tylko dlatego, że pamiętamy

To przyjemna i wciągająca robota. Można przy niej chodzić po ogrodzie, można też leżeć, a nawet drzemać na

tapczanie. Jednak oczywiście jest też z pewnością jakaś głębsza, jakaś istotniejsza przyczyna tego, że w ostatnich latach pisałem tylko oktostychy. Może historycy literatury zechcą się tym zająć. Im też

zostawiam odpowiedź na pytanie, dlaczego Jarosław Iwaszkiewicz zaczął swoją twórczość poetycką od oktostychów, a ja na oktostychach ją kończę.

Jarosława Iwaszkiewicza przywołuje pan w „Metempsychozie”, i to nawet dwukrotnie.

Także w poprzednim tomie oktostychów, „Końcu lata w zdziczałym ogrodzie”, jest oktostych zatytułowany „Rok 1918 – początek gatunku”, w którym mowa jest o tym, jak to się w XX w. zaczęło – młody Iwaszkiewicz przyjeżdża do Warszawy i przywozi swoje oktostychy; idzie do kawiarni Pod Pikadorem i tam spotyka Słonimskiego oraz Lechonia. Jednak to nie Iwaszkiewicz wprowadził do polszczyzny tę formę, nie on ją tu przywiózł, ona była znana od dawna.

Uprawiał ją bodaj Piotr Kochanowski, bratanek sławnego Jana...

Tak, oktostychy, forma włoska, pojawiły się u nas po raz pierwszy pod koniec XVI i na początku XVII w. Iwaszkiewicz, na początku XX w., udowodnił, że można się nią nadal skutecznie posłużyć. Osiem wersów, a w środku coś z francuskiej poezji, coś z Gautiera, Verlaine’a czy nawet z Baudelaire’a – tak to początkowo wyglądało. Chociaż Iwaszkiewicz wyszedłby na tym lepiej, lepiej by mu to posłużyło, gdyby – wprowadzając do modernistycznej polszczyzny, około roku 1918, oktostychy – częściej czytał wówczas Baudelaire’a, a rzadziej Verlaine’a. Jednak widocznie znalazł u Verlaine’a coś takiego, co mu się spodobało – może jego płaczkliwość, jego podejrzaną czułościowość. To bardzo oktostychom Iwaszkiewicza zaszkodziło. Mam wobec niego dług

wdzięczności, bo czytałem go przez lata i wiele się od niego nauczyłem. Iwaszkiewicz – teraz widać to coraz wyraźniej – to niewątpliwie największy poeta z „wielkiej piątki skamandrytów”. Te moje tu pochwały nie dotyczą jednak jego oktostychów, które raczej coś zamykały, niż otwierały – zamykały epokę modernizmu, można nawet powiedzieć, że były jej ostatnim okrzykiem (raczej jękiem rozpacz), były jej zwieńczeniem. Kończyła się właśnie epoka Młodej Polski, epoka Kazimierza Przerwy Tetmajera (uważanego wtedy za wielkiego poetę), ale Iwaszkiewicz jakoś tego nie dostrzegł - właśnie tego, że język, którego używa, jest językiem końca, a nie początku. Moje oktostychy, poza tym, że są również ośmiowierszami, z Iwaszkiewiczowską formą nie mają nic wspólnego.

Igor Strawiński, Joseph Haydn, Aleksander Skriabin... Obecność tych postaci w pańskich oktostychach wskazuje na to, że muzyka wciąż odgrywa ważną rolę w pana życiu.

Muzyka jest jedną z najważniejszych przygód w moim życiu, jedną też z najpiękniejszych. Jest też taką przygodą, której nie potrafię sobie wytłumaczyć i która wciąż mnie dziwi. Bo jest tak, że ja nie mam żadnych uzdolnień muzycznych, nie mam też żadnego muzycznego wykształcenia i nie gram na żadnym instrumencie. Nawet nie mógłbym grać, nie mógłbym się nauczyć, bo słuch mam też dość nędzny - nie potrafię zaśpiewać najprostszej piosenki. To znaczy - potrafię, ale rozpaczliwie fałszując. Może dlatego jestem takim pokornym słuchaczem. A ponieważ wraz z biegiem lat coraz trudniej mi obcować ze słowem pisanim czy drukowanym, muzyka musi mi zastępować także literaturę. Codziennie z Ewą czegoś słuchamy. Codziennie przez dwie, trzy godziny – i tak jest od lat. Zaczęliśmy słuchać jeszcze w Łodzi, gdzieś pod koniec lat 50., kiedy zamieszkaliśmy przy ul. Spornej.

Wtedy słuchaliśmy na adapterze, któremu zmieniało się igły. Pamiętam nawet, choć to lata minęły, od czego zaczęło się to słuchanie – od koncertów skrzypcowych Bacha i od „Mitów” Szymanowskiego. Od lat też próbuję w tym słuchaniu zaprowadzić jakiś porządek, ale kompletnie mi się to nie udaje, raczej wybieram płyty, kierując się jakimś odruchem czy jakimś olśnieniem – dziś koniecznie to lub tamto, dziś koniecznie Brigitte Fassbaender będzie śpiewać „Winterreise”; ale dlaczego właśnie Schubert z „Winterreise” jest mi koniecznie potrzebny, tego nie wiem. Bez tego codziennego słuchania muzyki byłbym bardzo nieszczęśliwy. Jest tak, jakby to świat przychodził do mnie ze swoją muzyką i mówił mi: „Słuchaj!”.

A czy ma pan jakiś skończony zestaw muzyczny? Pytam o to, bo przypomniało mi się, jak kiedyś Paweł Hertz powiedział mi, gdy oglądałem jego księgozbiór: „Nowych książek tutaj pan nie znajdzie, gdyż się ich pozbywam. Ja już wszystko, co ważne, przeczytałem”.

Odpowiem trochę jak Paweł Hertz. Nowych płyt już nie kupuję, bo to, co mam na regałach, wystarczy mi do końca życia, niekiedy tylko dostaję jeszcze coś w prezencie. Niedawno dostałem taki piękny prezent – płytę z dziecięcymi i młodzieńczymi polonezami Chopina i z jego pierwszą sonatą, której nie miałem. Rozkoszna muzyka! Przesłuchałem tę płytę kilkanaście razy i postawiłem na półce - może jeszcze do niej wrócę, ale może nie. Tyle rzeczy jest jeszcze raz i jeszcze raz do przesłuchania – wszystkie kwartety i sonaty Beethovena, wszystkie sonaty Schuberta, wszystkie koncerty fortepianowe Mozarta, cała muzyka fortepianowa Bartoka, cały Debussy, cały Monteverdi i – jak to teraz się mówi (coraz częściej słyszę ten dziwny i dający do myślenia zwrot językowy w telewizji) – i tak dalej, i tak dalej. A w

dotatku nie wiem przecież, po co słucham. Dla czystej przyjemności słuchania? Dla skontaktowania się z czymś lub z kimś? Czy może jest to rodzaj narkotyku? Coś w rodzaju narkotycznej obecności zaświatów?

Jak pan traktuje pamięć, w której twórczość pańska osadzona jest – jak się wydaje – wyjątkowo mocno?

Istniejemy – i zdajemy sobie sprawę z tego, że istniejemy – tylko dlatego, że pamiętamy. Pamiętamy, że tutaj jesteśmy. Ujmując to inaczej – każdy z nas, każdy człowiek istnieje w swojej pamięci i dzięki pamięci. Jest w samym jej środku i nie może się z niej wydostać. Gdyby się z niej wydostał, to natychmiast przestałby istnieć, bo nie wiedziałby nic o swoim istnieniu. Tak więc to pamięć i tylko ona stwarza nasze tutejsze życie – powołuje je do istnienia. Bez niej nie istniałaby ani żadna terażniejszość, ani też żadna przyszłość. Istnieje zatem tylko przeszłość – stwarzająca cały nasz tutejszy świat. Jest zapewne tak – choć o tym nic nie możemy wiedzieć, to jest rzecz domyślna, że pamięcią, jakimś rodzajem pamięci, czymś w rodzaju pamięci obdarzone jest całe tutejsze istnienie. Wiewiórki, jeże, dęby i sosenki – o te, które widać za oknem – też mają swoją pamięć, coś w rodzaju pamięci. Bez tego rodzaju pamięci, jaki posiadamy, bylibyśmy zupełnie inni – bylibyśmy czymś innym. Gdyby nie ona, nie mielibyśmy żadnego języka, którym moglibyśmy porozumiewać się ze światem, rozpoznawać świat – a więc nie mielibyśmy żadnego świata. To pamięć pozwala nam zadawać podstawowe, istnieniowe pytania: Co to jest? Co to takiego to, co jest wokół? Rozpoznajemy to dzięki pamięci i jedynie dzięki niej. W tym sensie każdy jest strażnikiem swojej własnej pamięci i strażnikiem całego świata.

Wywiad ukazał się w tygodniku „DoRzeczy” [nr 46/2017]

*Jarosław Marek Rymkiewicz jest tegorocznym laureatem nagrody
Strażnik Pamięci w kategorii „Twórca”.*

